

# SPOŁECZENSTWO

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY I POLITYCZNY.

**PRENUMERATA w Warszawie:** z odnośnieniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedynczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZENSTWO“ wychodzi co piątek

Adres Red. i Administracji **Żórawia 29 m. 2. Tel. 116-67.**

**OGŁOSZENIA** po kop. 15 za wiersz petitu. **REKLAMY** po tekście kop. 30 za wiersz petitu. **NADESŁANE** na 1 stronie przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki od g. 2 — 3 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

## TREŚĆ NUMERU:

Wyznanie wiary b. prezesa.  
Ostatnia Rozmowa (odcinek).  
Naiwność.  
Z dziedziny złudzeń.

Na widnokregu.  
Krytyka i Sprawozdania.  
Z teatru.  
Młodość robotnicy.  
Gumplowicz i Bogusławski.  
Kronika.

## NOWOŚĆ

# CHOCHOŁ

Zbiór utworów satyrycznych wierszem i prozą.

Wydawnictwo „SPOŁECZENSTWA“.

Cena kop. 30.

## WYZNANIE WIARY B. PREZESA.

P. Dmowski co raz bardziej zniża lot, zakreśla co raz węższe koła i zdawać się może, że niedługo opadnie zupełnie na ziemię. Jego wynurzenia polityczne, którymi nas darzy regularnie, w miesięcznych odstępach czasu na łamach *Przeglądu Narodowego*, świadczą aż nadto wymownie, że p. Dmowski traktuje „dążenia do reformy ustroju państwowego mniej entuzjastycznie,“ za to pojmuje je „głębiej, realniej i bardziej zgodnie“ z narodowym stanowiskiem.

Otóż, stojąc na tem narodowym stanowisku, b. prezes pragnie widzieć w Kole przedstawicielstwo kraju, nie zaś prywatną reprezentację oddzielnego stronnictwa. O tem już wiemy. Dowiadujemy się natomiast o tem, że Koło nie zdołało się przy tej zasadzie „całkowicie utrzymać“ i że „w niem była silna dążność do traktowania sprawy jako sojuszu stronnictwa polskiego ze stronnictwem rosyjskim,“ z „kadetami.“ Niestety sojusz ten nie został zawarty i przypiętowany obustronną zgodą. Nie był dla tego, że kadeci pragnęli sojuszu z polskimi żywiołami postępowymi, nie zaś ze stronnictwem narodowo-demokratycznym, w którym słusznie upatrywali reprezentację

tylko jednej części społeczeństwa polskiego, i w dodatku części najbardziej wstecznej i szowinistycznej. W Kole polskiem zogniskowane są dążenia grup społecznych, które ze zmianą stosunków wewnętrznych w Królestwie zmieniły, a właściwie ujawniły swoją istotną fizjonomję polityczną i wyparły się z godną podziwu otwartością poprzednich dążeń i zadań *narodowych*. Jakże mógł nastąpić sojusz z konstytucjonalistami rosyjskimi jeśli ci wypowiedali się za autonomją dla Królestwa, polacy zaś wyrzekli się jej, jako reformy zbyt cennej dla „normalnego rozwoju kulturalnego i narodowego.“ Jakże mogli się polacy porozumieć z „kadetami“ jeśli dla tych ostatnich nie minął jeszcze „okres ogólnych haseł“ i na porządku dziennym nie stanęły jeszcze „sprawy konkretne i realne“ (w narodowo-demokratycznym znaczeniu tych wyrazów). Dążenie do tego sojuszu musiało się gwałtownie przerwać na całej linii dwóch obozów z tej prostej racji, że konstytucjonalisci nie porzucili dawnego programu, zaś Koło ciężko poczęło ku październikomcom, którzy również orzekli, że minął bezpowrotnie okres różowych nadziei. Rozpoczęła się i dla polaków era paktów zakulisowych, era wolnego handlu interesami i potrzebami narodowymi. Drogi pokrewnych grup politycznych musiały się zejść i zeszyły się faktycznie, i już nie w chwili ostrego przesilenia, lecz w czasie pokryzysowym; w tym właśnie momencie „zjawiła się silna dążność do wytworzenia w naszym społeczeństwie filji stronnictwa rosyjskiego,“ współdziałającego „z odpowiednim obozem w Rosji,“ a właściwie pozostającego „pod komendą“ tego obozu. O tem świadczą fakty, które miały miejsce podczas ubiegłej sesji parlamentarnej i o których wiele, głośno, namiętnie rozprawiano w swoim czasie w całej prasie polskiej. Fakty te w pożądanym sposobie oddziaływały na opinię kraju, czemu sprzyjał zresztą zwykły a niedbały *façon de parler* pana b. prezesa, jego komentatorów i interpretatorów partyjnych.

I cóż dziś wobec jego niedalekiej, chmurnej i górnej przeszłości politycznej znaczyć mogą frazesy, że „polityka nasza dopiero wtedy jest polityką niezależną, prawdziwie polską, kiedy w zasadzie stawia wszystkie stronnictwa na równi“...

Przedewszystkiem nigdy działacze narodowo-demokratyczni nie stawiali wszystkich stronnictw rosyjskich na równi, a następnie, co jest daleko ważniejsze, że Koło polskie nie jest w stanie przeprowadzić tego równouprawnienia partyjnego. Jest ono fizycznie i ideologicznie za słabe, za chwiejne i niezrównoważone by mogło zająć bezwzględnie niezależne stanowisko, pozwalające na przeprowadzenie takiej polityki, któraby odpowiadała istotnym potrzebom całego kraju, nie zaś jednego stronnictwa. Koło mogłoby ustanowić powyższą zasadę w tym jedynie wypadku, gdyby rzeczywiście reprezentowało większą część ogółu polskiego i mogło liczyć na jego poparcie, gdyby przedstawiało należycie zorganizowaną siłę społeczną. Siła ta zawsze toruje drogę dla godnej działalności politycznej i pozwala na zawieranie czasowych sojuszów dla określonych „konkretnych i realnych“ celów, wykluczając przytem wszelką konieczność czynienia ustępstw i oszczędzając w trudnej i odpowiedzialnej pracy politycznej rozmaitych upokorzeń i krzywd, które w takich warunkach dotyczą nie tylko przedstawicieli, lecz i koła społeczne przez nich reprezentowane.

P. Dmowski oceniając przeszłość parlamentarną Koła zapomina o tem, że nie przedstawiało ono właśnie tego ogółu polskiego, lecz wyłącznie jedno stronnictwo, w dodatku stronnictwo zdyskredytowane, zbankrutowane i w Królestwie i w Rosji. Ta okoliczność zdecydowała o stanowisku Koła w Dumie trzeciego powołania i decydować będzie przez cały czas jej istnienia. Szczytne dążenia p. Dmowskiego do stworzenia niezależnej pozycji przedstawicielstwa polskiego (pozycji, która pozwoli na równouprawnie-

nie wszystkich stronnictw) są zawodne, niewdzięczne i bodaj że znikome. Wstręt do niskiego uzależniania się od stronnictw rosyjskich, tęsknota do wyżyn samodzielnosci przypomina tę gęśz bajki, która zoczywszy orła zapragnęła wzbic się z nim w chmury, lecz jej gęsi instynkt jeszcze przed odlotem wzbudził tęsknotę do gąsiora... Koło polskie posiada instynkt naturalny sfer narodowo-demokr., z których łona wyszło. W okresie „ogólnych, rozległych hasel“ kiedy inne żywioły dążyły do ich realizacji i zdawało się że posiadają siłę ku temu—i sfery wszechpolskie mimowoli podniosły niektóre „ogólnonarodowe“ zadania. Ze zmianą zaś układu sił społecznych na niekorzyść tych żywiołów i co za tem idzie ze zmianą całokształtu stosunków politycznych u nas i w Rosji—narodowa demokracja zamieniła poprzednie hasła na hasła „konkretne i realne“, które w rzeczywistości są mniej realne i konkretne, niż poprzednie. Przedstawicielstwo polskie, pozbawione zaufania i poparcia ze strony większej części społeczeństwa, zeszło z prostej drogi taktycznej na manowce w poszukiwaniu politycznych zwolenników i protektorów. Musiało tedy Koło uwierzyć w konstytucjonalizm październikowców, którzy jakoby pomódz mają w realizowaniu „namacalnych i zrozumiałych dla każdego interesów“. Ciesząc się ze zbliżenia do październikowców, zawierając „czasowe“ lecz serdeczne przymierze z „konstytucjonalistami“ podobnego autoramentu i powierzając im w gruncie rzeczy sprawę zakreślonych reform—nasi „twórcy przyszłości narodowej“ okazały tem nielada przysługę krajowi: ostatecznie zdyskredytują stronnictwo narodowo-demokratyczne. A tego przynajmniej nikt wszechpolakom za złe już nie weźmie...

*Henryk Lukrec.*

LEON RYGIER.

## OSTATNIA ROZMOWA.

— Więc?.. Jakaż konkluzja?..

— Że życie mogłoby być dobre, o ile byłoby naprawdę swobodne... Że miłość mogłaby być piękna, gdyby nie walka z upiorami...

— Z upiorami?..

— Bo ty myślisz, żeś zwalczyła w sobie tradycję... Że jesteś zupełnie nowa, wyzwolona, odważna kobieta... A to nieprawda...

— Nieprawda?..

Patrzyła uważnie zmaconemi maskowanym niepokojem oczyma w twarz ukochaną...

— Tak, Haniu, to nieprawda... za wszelką cenę chciałyby przerwać tę rozmowę, oddalić nadchodzącą chwilę... Była zbyt konsenkwentna, by nie umieć z szeregu logicznych przesłanek wysnuć jedyne, nieubłaganego wniosku... Ale wniosku tego nie chciała... Nie chciała za nic w świecie... Z drugiej jednak strony brzydziła się tchórzliwą sofistyką... Milczała...

Stanisław rozumiał ją doskonale... Był od niej wrażliwszy, słabszy nerwowo — i nie umiał zachować

nawet pozornego spokoju... Męczyła go konieczność zadawania cierpienia istocie, która mimo wszystko była mu najbliższą na całym okręgu ziemi...

— Czy ty naprawdę nie czujesz tego, co ja mówię?..

Nie czuła... Nie czuła... Rozumiała tylko, tak jak się rozumie prawo matematyczne... Widziała zawily rachunek i umiała go rozwiązać... Ale rozwiązanie to pozbawione było dla niej wszelkiej racji bytu... Dla kogo — po co ta matematyka?.. Co z niej komu przyjdzie?

I wreszcie przez serce jej przeszedł cicho, podstępnie zabójczy sztych zimnej klingi...

— Dla niego!.. Jemu to jest potrzebne!.. Nie mnie... jemu!..

— Co to jest miłość? — szepnęła do siebie, zapomniawszy, że on słucha.

Stanisław rozumiał, że pytanie to było zadane nie jemu... Ale wyczuł i cały ból, w pytaniu tem zawarty... Przyszła chwila wpatwienia się w zjawisko przeżywane bezkrytycznie, przyszła chwila fatalna zdania sobie sprawy z tego, co się traci... W pytaniu tem było wszystko... Co to jest miłość?.. Czy nie znaczy to: co to jest życie... człowiek... los... śmierć?.. Czy nie znaczy to: co to jest świat?..

— Haniu... Haniu!..

## NAIWNOŚĆ.

Mają snąć rację nasi księża, żaląc się na nieznamość katolicyzmu w naszym społeczeństwie.

Przedziwna naiwność głosów, podnoszonych przez naszą prasę w sprawie protestu kar. Puzyny przeciwko przeniesieniu zwłok Słowackiego na Wawel — jasnym tego dowodem.

A szkoda.

Gruntowniejsza znajomość kościoła katolickiego przydałaby się nam bardzo.

Mniej byłoby katolików „z nieporozumienia” katolików, którym się zdaje tylko, że są katolikami.

Umianoby lepiej zdać sobie sprawę, czym jest katolicyzm dla ludzkości wogóle i czym grozi nam zwłaszcza.

Mniej by się dawano brać na lep ładnych słówek różnym dyplomatom w sutannach. Mniej byłoby złudzeń na rzecz katolicyzmu — śmieiej umianoby prawdzie spojrzeć w oczy.

Katolicyzm przestałby być czemś niezbadanym, tajemniczym, a przez to samo pociągającym dla wielu — czemś, znanym tylko przygodnie na podstawie tego, co raczą nam odsłonić „ojcowie duchowni”, zainteresowani oczywiście w tem, by go przedstawić jak najlepiej.

Znalibyśmy go sami, wiedzieli, czym jest i czego w danym razie spodziewać się po nim można.

Znając drzewo, wiedzielibyśmy z góry, jakie w odpowiedniej chwili zdolne jest wydać owoce.

„Wszak *katolikiem* był Słowacki” — głoszą chórem nasze organy różnych odłamów. „Wszak oświadczył przed śmiercią, że wierzy w Boga i że zjednoczyć się z nim ma nadzieję.

„Wszak spowiadał się przed śmiercią i przyjął sakramenta kościelne”.

„Co za niesprawiedliwość ze strony kar. Puzyny, że mu odmawia grobów Wawelskich”.

„Oczywiście nie działa on jako przedstawiciel kościoła; kościół w tej sprawie nic nie winien i nauka jego w grę nie wchodzi”.

„Winą tu starczy umysł krakowskiego biskupa,

Podniosła głowę... Oczy jej były rozszerzone, pełne przerażających trwóg i wątpliwości...

— Wszystko mija... szepnął cicho...

Uśmiechnęła się uśmiechem dalekim, echem smutnem uśmiechu... — Słowa, słowa... pomyślała...

— Jesteśmy oboje mądrzy, pełni świadomości... próbował mówić...

— No tak.. Ale o co ci chodzi?..

Zapanowała nad sobą resztkami sił.. Patrzyła chłodno... Nie pozwoliła sobie nawet na odruch obrażonej dumy...

— Doprawdy... nie wiem, jak to wyrazić... A wydaje się takie proste... Pamiętasz naszą rozmowę po pierwszym pocałunku... tam... w parku..

Przypomniała sobie... Będziemy zawsze wolni wobec siebie... mówiła... Nigdy przymusu, nigdy kłamstwa... Dla kogokolwiek byłoby już dosyć — powie...

Ale wówczas mogła jeszcze dodać, tuląc się do jego piersi.

Więc pieść mię teraz, póki czas...

Formułowała w myśli:

— Swoboda jest potrzebna w teorji, żeby pieszczota była słodsza...

— Pamiętasz?..

Milczała... Ogarniała ją apatja, podobna do tej, jaką odczuwa człowiek chory przed śmiercią... Była

jego chęć robienia zawsze naprzekór ogółowi, jego tradycje arystokratyczne — ba, nawet może jego cześć dla Mickiewicza, któremu nie chce ubliżyć towarzystwem Słowackiego”.

„Kościoła w tej sprawie poruszać nie trzeba”.

„Puzyna tu wszystkim”.

„Hajże na Puzynę!”.

Nie myślę bynajmniej podejmować obrony kar. Puzyny.

Puzyna, gdyby nie był Puzyną — gdyby nie był kościelnym fanatykiem — gdyby dopuścił do swej duszy nieco potępionego „modernizmu” — gdyby zechciał być dyplomata — gdyby się orjentował w sytuacji — to naturalnie dla dobra samego kościoła nie podniósłby „veta”.

Kardynał Puzyna winien, bo jest żelaznym, niezłomnym księciem kościoła, biskupem pokroju Tomaszów, Beketów lub Stanisławów bo mu się zdaje, że wieki średnie jeszcze nie minęły i nie miną nigdy.

Bo w jego przekonaniu biskup zawsze bezwzględny, nie zważającym na nic stróżem praw kościoła być musi, kiedy nawet z punktu widzenia czysto kościelnego biskup w interpretacji prawa kościelnego liczyć się powinien z warunkami czasu, bo kościół prawa stanowi dla dobra swego, a nie na własną szkodę.

Więc winien Puzyna, że głuchym jest na wszystko, co przyniosły i co zmieniły wieki.

Że jest rzuconym w świat nowy, średniowiecznym biskupem.

Że orjentować się w nowem środowisku nie umie.

Że jest bezwzględny wyobrazicielem przeszłości.

Że zapatrzony jest w literę prawa, jak Izrael w swój Talmud.

Że świat gotów by zgubić, byle nie uronić najmniejszej kreski w zakonie, byle zadość się stało wszelkim paragrafom kościelnych kanonów.

Ale, przyznać trzeba — jest w tem niezłomnem stanowisku biskupa, któremu się zdaje, że obowiązek swój największy spełnia wbrew wszystkiemu i wszystkim — pewna doza tragicznej wielkości.

Takimi zapewne będą ostatni katolicy, gdy świat wkroczy w inną religijną erę.

Puzyna winien, że zamknął wrota swej duszy dla ducha nowego.

Że poprzez pancerz ortodoksji do serca swego

się już skończyło.. Na co te bezlitosne lekarstwa, przedłużające cierpienia... Oczy jej nagle straciły wszelki wyraz... Stały się poprostu śmiertelnie znużone...

— Skończ już — rzekła prosto...

Stanisław zerwał się nagle... W słowach jej zadźwięczał mu jak gdyby wyrzut... Poczucie sprawiedliwości oburzyło się w nim gwałtownie...

— Haniul.. Ty mnie krzywdzisz!

Spojrzała na niego z nienawiścią...

— Ja ciebie krzywdzę? — zapytała jeszcze spokojnie...

Ale Stanisław dojrzał błysk nienawiści, w jej oczach...

— Za co? — pomyślała.. — Cóż ja jej złego robię?.. Mówię tylko prawdę, nic więcej... Zresztą mam do tego zupełne prawo... Sama wymagała tego ode mnie... Sama postawiła ten warunek...

— Ja pójdę już... rzekł porywczo...

Wstała szybko i zastąpiła mu drogę... Twarz jej była blada, jak kreda... Usta drżały... Oczy patrzyły prosto w jego serce... Nagle pociekły z nich łzy grube, bezgłośne...

— Stachu mój!..

— Haniul.. Haniul.. Co ty robisz?..

— Stachu mój!..

Odsuwał się... Chciał ukryć przed nią zdumienie

nie chce dopuścić tętna nowych czasów. Puzyna wien, że chce być zanadto katolickim i zanadto kościelnym.

Ale przedewszystkiem winien kościół, którego prawa on stróżem — którego ciemnoty on wcieleniem.

Którego urągania czasom nowym i nowym dążeniom ludzkości — on tylko odbiciem.

Którego nietolerancji — on pokornym sługą, bezwzględny rycerzem.

Przedewszystkiem winien kościół.

Bo Puzyna nie w swoim imieniu podnosi „veto”, lecz w imię kościoła.

W imię paragrafów prawa, których, jako biskup, jest stróżem.

Zapewne -- inny biskup, bardziej dyplomatyczny, bardziej giętki -- dla dobra kościoła, by nie wywoływać powszechnego oburzenia, nie dawać okazji do napaści na kościół — postąpiłby może inaczej.

Ale dopóki kościół katolicki wpływ swój przemożny mieć będzie, dopóty zawsze będą i Puzyny.

Dopóki prawa kościelne otoczone będą średnio wieczną nietykalnością, dopóty dziwić się trudno „vetam” katolickich biskupów.

Godząc się na kościół, na panowanie jego — czcząc prawa jego, jako boskie i święte, niemożna jednocześnie gniewać się na biskupów, że stosować je chcą.

Niemożna żądać, by postępowali z niemi, jak sprzedawczy urzędnik.

Godząc się na kościół — godzić się trzeba i na Puzynów.

Więc punkt ciężkości wyrzutów i niezadowolenia przenieść trzeba z Puzyny na katolicyzm.

Do źródła sięgnąć — nie gniewać się na skutki.

Kłaniać się katolicyzmowi, a żądać, by biskupi praw jego nie strzegli — to nielogiczność.

Katolicyzm zwalczać, jako duchową niewolę — lub tej niewoli się poddać.

Innego wyjścia niema.

Że Słowacki wierzył w Boga — to dla kościoła zamało.

swych oczu... Ona — ta dumna, mądra, silna dziewczyna, ta sama, przed której kłólewskim spokojem korzył się kiedyś... Co to jest?..

— Haniu!.. Usiądź!.. Dobrze, zostaną... Pomówimy jeszcze spokojnie..

Usiadł na małej kanapce w rogu pokoju i patrzył na nią w oczekiwaniu.

Osunęła się cicho na kanapkę, przytuliła twarz do jego twarzy... Mimowolnie objął ją w pół... Trwali tak chwilę... Ona pierwsza wysunęła się z jego objęcia... Zaczęła mówić bardzo cicho:

— Daruj mi... Zapomniałam się... Rzeczywiście — trzeba pomówić ostatni raz...

— Ostatni?... Dlaczego?... (czyż nie możemy mimo wszystko...)

— Nie możemy, Stachu, n'e — przerwała... Nie trzeba żadnych kłamstw... Bądźmy do końca szczerzy...

Popatrzyła na niego jakby z bardzo daleka, jakby dziwiąc się czemuś...

— Więc to była prawda, co ja mówiłam wtedy, po pierwszym naszym pocałunku...

Zamyśliła się...

— A wiesz?... Ja zupełnie nie wierzyłam, żeby to kiedyś miało stać się prawdą...

Stanisław milczał, nie rozumiejąc...

— Poprostu nie wiedziałam o tem, że prawa są

Że Słowacki wzniosłą religijnością tchnące pisał strofy — to także zamało.

Że przed śmiercią się spowiadał i ostatnie przyjął sakramenta — to jeszcze nie wszystko.

U nas — *vulgo* — to się nazywa może katolicyzmem, ale z punktu widzenia kościelnego do katolicyzmu stąd jeszcze daleko.

Aby katolikiem być, trzeba wierzyć we *wszystko* co kościół naucza — i *tak*, jak kościół naucza.

Trzeba przyjąć nie tylko dogmaty, ale i ogólnie przyjęte teologiczne twierdzenia.

Trzeba mieć gotowość przyjąć nawet z góry wszystkie dogmaty, które mogą być ogłoszone w przyszłości. Trzeba hierarchję czcić, jako od Boga natchnioną — i nieomylności Rzymu bezwzględnie oddać posłuszeństwo.

Słowacki w tem znaczeniu nie był katolikiem.

Cały duch twórczości jego tchnie wolnością której nie znosi kościół — rewolucyjność jego myśli to antyteza kościoła.

Nie mówiąc o jasnych, wyraźnych, ostrych oskarżeniach Rzymu, których tyle w jego pismach.

Słowacki w dawnych, dobrych, katolickich czasach byłby niewątpliwie spalony na stosie — dziś tylko mu zamknęli wrota Wawelu.

Że się spowiada przed śmiercią i sakramenta przyjmował, to jeszcze dla kościoła nie wszystko.

Kościół dla umierających, jako dla tych, co nadal niebezpieczni być nie mogą — jest wyrozumiały.

Rzadko się zdarza, by ksiądz odmówił rozgrzeszenia umierającemu.

Najjawniejszy heretyk dostanie Ostatnie Namaszczenie, gdy w chwili śmierci zawezwają doń księdza.

Inną jest rzeczą sumienie człowieka, które Bogu się nieraz zostawia.

Inna — zewnętrzna działalność jego.

Tej ostatniej kościół chce być sędzią według całej surowości swoich praw i paragrafów, w ustępstwa nie wchodząc.

Wszak Joanna d'Arc zanim została zaprowadzona na stos swój męczeński, otrzymała rozgrzeszenie i komunię co nie przeszkodziło, że spalona została.

po to, żeby się do nich stosować... Czy nie uważasz Stachu, że prawa są okropną rzeczą?..

— Nie rozumiem cię...

— Bo nie potrzebujesz rozumieć... Widzisz — prawa są dlatego, że są występki... Omidjusz w „Metamorfozach” mówi o złotym wieku ludzkości, gdy nie było praw, bo nie potrzeba było obawiać się ich pogwałcenia... Nikomu nie przychodziło nawet do głowy, że istnieje gdzieś jakieś zło...

— Więc?..

— Nic... Tak, przypomniało mi się... Ale czy miłość jest zła, by ją ograniczać prawami?..

— Właśnie my ją czynimy zupełnie wolną od wszelkich praw...

— Nieprawda!.. Ty... ty już nie kochasz, więc nie możesz nic mówić o miłości, ani wolnej, ani skrzepowanej... W tobie już jej niema, rozumiesz?... Gdy pokochasz drugi raz... i przeżyjesz to, co ja przeżyłam, miłość twoja nie będzie wolna...

— Jakto?

— Będzie się musiała poddać prawu przyrzeczenia...

— Ach...

— Tak... Miłości wolnej niema... Wolność istnieje tylko dla tych, co nie kochają... Ci którzy kochają szczęśliwie, sami dobrowolnie nakładają na siebie wię-

Heretykom, skazanym na spalenie, heretykom, więzionym dożywotnio w więzieniach św. Inkwizycji — udzielano sakramentów, a jednak nie ratowało ich to od śmierci lub kaźni.

Kościół sąd o duszy człowieka pozostawia Bogu — o czynach jego, owocach pracy, działalności sam sądzi i sam wyrokuje. Wobec Boga Słowacki może być niewinnym.

Wobec kościoła on winien, bo pisma jego tchną duchem niekatolickim — nieraz wyraźnie antykatolickim.

Pisma jego aprobaty kościoła nie zyskają nigdy, zawsze one dlań będą wrogie i wstrętne.

Więc i oddawaniu uroczystych hołdów Słowackiemu, jako poecie, kościół sprzeciwiać się musi.

Puzyna jest tylko nie złagodzoną przez dyplomację i wymagania nowych czasów i warunków głosem kościoła.

Tym samym, który podobnych Słowackiemu niegdyś na stos skazywał.

Który prochy mężów, uchodzących za świętych, nieraz w setki lat po ich śmierci odnalazłszy w ich pismach herezje — odgrzebywać i palić nakazywał.

Z Mickiewiczem poszło łatwiej, bo nie chciano robić skandalu.

Dunajewski łagodny był z natury. Mickiewicz — zanadto wielki i kochany. Co do Słowackiego mógł mniemać Puzyna, że jeszcze konieczność bezwzględna ustępstw nie zachodzi.

Że naród go niedość zna jeszcze i rozumie. Więc że bezwzględność wobec niego niczem nie grozi.

Ale — jakkolwiek to brzmi może nieprawdopodobnie —

Gdyby kościół wzmógł się znowu na siłach —  
Gdyby był pewnym powagi swej, pusłuchu —  
Gdyby świat w zależność mu się oddał, jak niegdyś za Grzegorzów i za Bonifacych —

Gdyby stłumioną została owa „szatańska bezbożność” naszych czasów, na którą się tak nieustannie uzalają w Rzymie. —

zy. Ale dlaczego ludzie nieszczęśliwi mają jeszcze podlegać jakimś prawom?..

— Więc co na to poradzić?.. Mojem zdaniem miłość wolna to znaczy swoboda kochania...

— Stachu, ty chyba żartujesz?.. Czyż ten, kto kocha naprawdę, ogląda się na cokolwiek na świecie?.. Miłość wolna — ten mój ideał młodzieńczy! — to właśnie prawo podeptania nieszczęśliwego... To prawo odejścia od umierającego bez podania mu kropli wody...

— Więc wolałabyś przymus małżeński?..

— Nie... Ja bym wolała nic z tego, co istnieje. ...Bo wszystko co istnieje, jest złe i okrutne...

Stanisław wstał i podszedł do okna... Niebo, zasiane gwiazdami, mówiło mu zupełnie co innego... Mówiło mu, że cudną rzeczą jest jechać we dwoje w taką noc słodką między lipami szerokiej wiejskiej drogi... Ale serce scisnęło mu się zaraz na myśl o Hani... Ona nic jeszcze nie wie o tamtej... Nic nie wie o tej lipowej drodze... Czemuż jej nie powiedział?.. Taki to przed nią?.. A więc musi to być chyba złe... I co to jest miłość?.. Okrutnaż jest i ona, jak życie i jak śmierć?..

— Ty kochasz? — postyszał za sobą szept zduszony, namiętny — i poczuł włosy Hani na twarzy..

— Niel..

Kto wie, czy i Mickiewicza nie ruszonoby z Wawelu

Kto wie czy i te święte prochy nie poszłyby na spalenie, aby być potem rzuconymi do Wisły?

Tak postępował kościół w dawnych dobrych czasach wobec niemiłych sobie.

Tak mógłby — bez względu na nieprawdopodobieństwo słów moich — postępować i w przyszłości.

Nieomylny kościół, który przez szereg wieków na stos prowadził żywych heretyków a ciała tych, których za winnych uznał po śmierci odgrzebywać i palić rozkazywał — zaprzeczyłby sam sobie, gdyby kiedykolwiek za złe miał uznać, to co niegdyś gdy rządził światem — uważał za święte i konieczne — gdyby przyjął za zasadę ustępstwa, które uczynił tylko zmuszony bezbożnością czasów.

Wszak dotąd w podręcznikach, używanych we wszystkich seminarjach przyznaje się kościołowi prawo karania heretyków, uznaje się inkwizycję, jako świętą instytucję.

Wszak kościół nie dobrowolnie zniósł egzekucję heretyków, ustąpił tylko wobec konieczności.

Wszak i dziś jeszcze wybitni pisarze katolicycy idealizują te potworne sądy (dość wspomnieć de Maistre'a, Veillot'a i ich naśladowców w żarliwości).

Wszak i dziś jeszcze w szczerych wynurzeniach wzdychają do stosów inkwizycyjnych nie tylko tercjarze i tercjarki ale i wybitni, wpływowi przedstawiciele duchowieństwa.

Po klasztorach (a i nie tylko w klasztorach) u nas i gdzieindziej, słyszałem nieraz podobne wynurzenia.

Jeżeli nie chcemy protestów w rodzaju wystąpienia Puzyna. —

Jeżeli nie chcemy duchowej niewoli — to skończyć trzeba raz z tą galanterją wobec Rzymu i katolicyzmu i z tem oszczędzaniem źródła owej niewoli.

Tylko gdy wpływ i znaczenie kościoła osłabnie, gdy się on słabym wobec opinii poczuje — złagodnieje napewno.

Nie będzie wtedy Puzynów.

Ale dopóki wszechwładnym będzie i wszyscy

— Mów prawdę!

— Niel..

— Jeżeli kłamiesz nieszczęście ją spotka... Jeżeli kłamiesz, umrze zaraz...

Stanisław drgnął i odwrócił się... Wyblyskujące z mroku oczy Hani piły z niego duszę... Stał, wyczuwając na całym ciele zwierzęcy dreszcz przerażenia. Chciał krzyknąć głośno, jak we śnie, kiedy dręczący zmora...

— Ty kochasz?

— Haniul..

Uderzyła go pięścią w deskę piersiową, aż rozległ się głuchy dźwięk...

— Wiem wszystko... Ale depczę wszystkie prawa... I ja kocham!.. Teraz się zmierzmy, kto silniejszy...

Odpinała drżącymi rękami haftki stanika... Szybkimi ruchami rąk uwalniała się z krępującej jej kształty, obcisłej spódnicy.

— Haniul.. Uspokój się!.. Co ty robisz?

Dysząc szybko, zdejmowała szybko buciki, ścigała pończochy... Została tylko w koszuli... Chwilę wahała się... Wreszcie dotknęła końcami palców ramion, i koszula zsunęła się z niej z cichym szelestem...

liczyć się z nim będą i politykować — póty łańcuchem nam pozostanie zawsze.

Dobrze, że tak gorliwie prefekci nasi w szkołach zajęli się „religijnem oświeceniem młodzieży.“

Trzeba mieć nadzieję, że z tej nauki młodzież wyniesie lepszą znajomość kościoła i że ludzi się co do niego przestanie.

Nauka religii katolickiej im silniej bywa akcentowaną w szkołach — tem głębiej podrywa wiarę w prawdziwość kościoła.

*Antoni Szech.*

## Z DZIEDZINY ZŁUDZEŃ.

Francji nigdy nie zbrakło pięknych idei. W okresie zupełnej reakcji, gdy na glebie republikańskiej bujnie panoszyły się kąkole klerykalno-absolutystycznych rządów Melina komisje parlamentarne opracowywały rozmaite projekty praw, których urzeczywistnienie zaprowadziłoby niewątpliwie społeczeństwo francuskie poza granicę marzeń najbardziej marzycielsko usposobionych humanystów. Niestety, im szlachetniejsze były myśli republiki ówczesnej, tem nikczemniejsze jej czyny.

Obecnie, gdy Trzecia Republika strząsnęła z siebie część pokrywającej jej warstwy przeszłości, gdy zdobyła się na dzwignięcie szeregu mniej lub więcej demokratycznych i wolnościowych instytucji, myśl jej obniżyła swój polot. Jej przysięgli ideolodzy wciągają na siebie togi cezaryzmu, a twórcy humanitarnych programów politycznych grzęzną w trzęsawisku „idei państwowości“. Niemniej jednak nie brak Francji i dziś pięknych idei, jak niebrak nikczemnych czynów.

Piękna niewątpliwie jest idea zawarta projekcie prawa uchwalonego przez komisję senatu — instytucji, jak wiadomo, zwłaszcza w dziedzinie reform społecznych, nader reakcyjnie usposobionej. Komisja ta, której zadaniem jest reforma instytucji małżeństwa, uchwaliła projekt prawa mocą którego

każdej kobiecie zakazaną będzie wszelka praca, z wyjątkiem zajęć koło gospodarstwa domowego, w okresie ciąży lub karmienia dziecka piersią. Naród poniesie kosztą tej wielkiej reformy: projekt przewiduje rekompensatę, równą zarobkowi kobiety, znajdującej się w takiej sytuacji. Wszelka praca natomiast w tym okresie pociągnie za sobą sankcję karną.

Aby zdobyć dla tego projektu, wymagającego olbrzymiej ofiary pieniężnej, choćby dalekie widoki urzeczywistnienia, komisja podciąga go pod kategorię praw mających na celu zatamowanie grożącego Francji wyludnienia. Wyludnienie!—Oto widmo niepokojące klasy panujące współczesnej Francji. Wyludnienie—znaczy to w języku państwowości brak żołnierzy, a brak żołnierzy—osłabienie potęgi państwowej w współzawodnictwie międzynarodowym. Nadzieja zwiększenia zastępów armji lub strach przed ich zmniejszeniem—oto jedyny bodziec, mogący pchnąć w kierunku reformy kapitalistyczno-finansową reprezentację senatu.

Niewątpliwie projekt sam przez się stanowi piękną ideę. Wobec systematycznej degeneracji fizycznej klasy pracującej w krajach cywilizowanych—degeneracji, stwierdzanej rok rocznie przez statystyki, sprawa opieki losem matki i niemowlęcia stała się od dawna palącą nietylko w krajach zagrożonych wyludnieniem. Zaopiekowanie się prawą kobietą w ciąży i w pierwszym okresie po porodzie stanowi warunek niezbędny dla zachowania zdrowia dziecka, a więc i gatunku. Jednocześnie sprawiedliwą z punktu widzenia społecznego jest sama teza, ustanawiająca, iż kobieta w okresie, gdy rodzi i odżywia piersią dziecko daje społeczeństwu wszystko, co może i nie powinna w tym okresie pracować nad wytwarzaniem innych dóbr. To też dopóki komisja senatu pozostaje w sferze idei, nie można jej nic zarzucić.

Ale w chwili gdy przechodzimy na teren urzeczywistnienia projektu, powstaje przed nami w świetle argumentów komisji obnażona istota społeczeństwa współczesnego. Nie w imię kultury i postępu tworzy się reformę samą przez się dobrą, ale w imię barbarzyństwa i reakcji.

Przedewszystkiem, widmo wyludnienia. Wątpić należy, czy kraj o stale wzrastającej ludności może dojść do dobrobytu. Nie uciekając się do krańcowe-

Stanisław patrzył, przerażony...

— Oszalała!.. pomyślał...

Ale nim zdążył coś przedsięwziąć, był już w jej objęciach... Skrępowawszy go nagiemi ramionami, Hania wpiła mu się w usta i, przechylając się w tył, pociągnęła go za sobą... Musiał postąpić kilka kroków, by nie runęła na wznak... Tak doszli obojdo otomány i padli na nią...

— Puść mię!.. krzyknął. Nie odpowiedziała, tylko jeszcze silniej przycisnęła go do siebie... Objęła go nogami drząc w histerycznym ataku...

— Haniu!..

Przyłgnęła mu do ust, wpiła się w nie płonąciami gorączką suchemi wargami... Całowała go tak, jakby umierał, i jakby od jej pocałunków zależał jego powrót do życia...

Nagle oderwała usta od jego ust i odsunęła nieco twarz, patrząc mu w oczy z dziką żądzą... Nozdrza jej drżały, źrenice zwężyły się, jak u pantery... Z za warg błyskały zwarte zęby...

Stanisław chciał odwrócić twarz, ale nie mógł... Był jak zahypnotyzowany... Przez oczy przywarło do dzikich oczu Hani przenikał mu w krew jej szal...

Zimne jej palce przebiegły szybko wzdłuż jego piersi, i odpiąwszy guziki kamizelki, rozprostowały się na nagiem ciele... Miękką dłoń przesunęła się mu kilka razy po skórze... Zadrżał z męki miłosnej...

— Rozbierz się — szepnęła Hania, ujrawszy jego oczy...

Usłuchał jej bez namysłu...

W ciemnym pokoju o późnej nocy szeptały usta kobiece:

— Nie puszczę cię... Choćbyś mię nienawidził, nie dam ci odejść... Kocham cię!.. Wszystko mi jedno, co myślisz o mnie... Tem wolna jestem, żem zdeptała w sobie dumę człowieczeństwa, że jestem tylko kobietą!

Odpowiedziało jej ciche westnienie i jęk rozkoszy.

go malthuzjanizmu, stwierdzić trzeba, że dla wzmocnienia spożycia indywidualnego, czyli prawdziwego dobrobytu niezbędne są warunki, w których wzmoczenie wytwórczości zdobyte dzięki machinizmowi, nie zostało pochłonięte przez stosunkowo przewyższający przyrost ludności. Twierdzenie to jest słuszne bez względu na ustrój społeczny i formę produkcji. Bez względu na parcie w kierunku przeludnienia stanowi niewątpliwie przeszkodę na drodze postępu ludzkości. Sam rozwój społeczny zdążyła zresztą w tym kierunku i wystarczy rzucić okiem na narody współczesne, a zauważymy, że im bardziej naród rozwija się, kształci się kulturalnie, tem bardziej zmniejsza się ilość urodzeń. Poza Francją, gdzie zmniejszenie się ludności stało się przysłowiem, widzimy to samo zjawisko w Stanach Zjednoczonych. Wielkie miasta Anglii i Niemiec zdradzają te same objawy: pod względem spadku urodzeń Berlin idzie tuż za Paryżem, a gdy ruch tego rodzaju rozwinął się w miastach, musi on niebawem przeniknąć dalej.

Stawiając sobie tedy za punkt wyjścia walkę z wyludnieniem, projektodawcy występują do walki z objawem bądź co bądź kulturalnym. Jaki zaś stawiają sobie cel?—Bez względu na barbarzyński: zaspokojenie apetytu molocha militaryzmu.

Wszelako niekulturalne przesłanki projektodawców stanowią jeszcze najmniejszą wadę projektu. Jego wadą kapitalną jest zupełna nieziszczalność w współczesnych warunkach, jego całkowita ludność. Projekt ten zaliczony zostanie do szeregu tych, które wpisane zostały na listę reform republikańskich ku chwale 3-ej republiki i pocieszeniu mas napróżno od republiki tej wyczekującej zbawienia.

Podstawowy cel komisji — zatamowanie wyludnienia jest, jak zauważyliśmy, w sprzeczności z tendencją rozwojową społeczeństw kulturalnych. I nie wpłyną na zmianę tego prądu korzyści materialne zapowiedziane przez wnioskodawców. Bowiem obawa ciężaru materialnego jest jedną z przyczyn, nie jest jednak bynajmniej przyczyną główną wyludnienia. Gdyby tak było widzielibyśmy najliczniejsze rodziny wśród sfer majątnych, gdy tymczasem właśnie system dwojga dzieci uprawiany jest z największym powodzeniem wśród warstw zamożnych, a masa uboga odznacza się błogosławieństwem boskiem.

Przyczyna najpotężniejsza, zmagająca instynkt odtwarzania jest inna; należy jej szukać w rozwoju umysłowym kobiety, która nie chce pozbawiać się swych praw ogólnoludzkich, która chce żyć także dla siebie i nie chce rezygnować z życia osobistego na rzecz idei liczebnego wzmocnienia się narodu. I prąd ten, rozwijając się wraz z kulturą, zamienia się w instynkt, którego niepodobna przemódz, a z którym walczyć można jedynie argumentami zaczerpniętymi... z biblii.

A jeśli reforma nie da żołnierzy—senat nie da na nią pieniędzy. Wprowadzenie w życie, choćby częściowe tej reformy wymagałoby olbrzymich sum, których obciążony budżet Francji nie posiada. Co innego jest militaryzm—na to zawsze są i muszą być pieniądze. Parlament walczy z nieprzewidywanymi trudnościami gdy chodzi o urzeczywistnienie prawa o emeryturach robotniczych, emerytury kolejarzy okrojono niemal do połowy, bowiem za każdym razem, gdy przed parlamentem staje kwestja kosztownej reformy, militaryzm podnosi głos i wyciąga swe maczki. Emeryturom robotniczym, wymagającym 60 milionów—przeciwstawiano reorganizację marynarki kosztem 200 milionów i marynarka pochłonięła tę reformę wraz z wieloma innymi jeszcze nie uchwalonymi. Zkąd tedy wezmą się setki milionów na tę nową reformę. To też komisja jeśli miała dobro gatunku na celu, winna była rozpocząć od przeciwnego końca.

Za każdym razem, gdy w społeczeństwie kapitalistycznym zostaje wysunięta tak poważna sprawa napotka ona przeciwwagę w militaryzmie. Z tego też powodu i tę reformę zaliczyć należy do rzędu złudzeń. A przecież postępową prasą nie omieszkała jej przedstawić, jako wyraz myśli radykalistycznej w przeciwstawieniu do kolektywizmu, który w swym programie minimalnym żąda „tylko” państwowego ubezpieczenia robotnicy na 2 miesiące, miesiąc przed i miesiąc po połogu.

*Marjan Aleksandrowicz.*

## NA WIDNOKRĘGU.

Zalew niemiecki w świetle cyfr. Kultura ludu w Płockiem. Szkoła początkowa polska i niemiecka. Barbarzyńskie opiekunki ochrony.

Poruszona niedawno w prasie naszej kwestja systematycznego zalewu kraju przez Niemców, jak się zdaje zwróciła uwagę sfer kierujących, które zajęte są zbieraniem danych cyfrowych o kolonistach niemieckich, przy czem szczególną uwagę zwrócono na tych, którzy osiedlili się w ciągu ostatnich lat.

Z zestawienia cyfr widzimy, iż w końcu r. 1908, np. powiat Radzyński liczył 1407 Niemców, w czem, jak się teraz okazuje, 1077 dawniej osiadłych i 330 niedawnych przybyszów.

„Gdy setki włóścian naszych—pisze z tego powodu „Kurjer” lubelski — dla braku ziemi w ojczyźnie, emigruje za ocean i ginie bezpowrotnie dla kraju—jednocześnie, w stosunkowo niedługim przeciągu czasu, przeszło trzystu Niemców, znalazło u nas dość ziemi i mogło się doskonale zagospodarować.

Czy akcja obecna przyczyni się do położenia skutecznej tamy od powolnego niemieckiego zaboru, czy też powiększy tylko objętość aktów w archiwach—niedaleka przyszłość pokaże.

Najsmutniejszym w tym wypadku jest to, iż ludność najbardziej narażona na te ataki—ludność z gub. płockiej pod względem kulturalnym stoi nader nisko.

Posłuchajmy, co mówi o tem jeden z korespondentów „Głosu Płockiego”, charakteryzujący kulturę ludu wiejskiego pod Płockiem w sposób następujący:

„Mamy jeszcze wielu takich—którzy utrzymują, że czytanie książek i gazet—rzecz odpowiednia tylko dla próżniaka—i że lepiej pieniądze, wydane na kupno książek, przeznaczyć na kupno tytoniu. To też są pod Płockiem wsie, gdzie się nie spotyka ani jednej gazety w całej wiosce. Teatr uważają ludzie z tych miejscowości za dom rozpusty i pójście do teatru równa się popełnieniu ciężkiego grzechu. O sztukę czytania i pisania bodaj czy nie mniej dbamy niż nasi ojcowie”.

Nic też dziwnego, że szkół początkowych jest bardzo mało i że są one uposażone nader z ubogo. W dalszym ciągu autor, zestawiając na zasadzie osobistych spostrzeżeń nasze szkoły początkowe z takimiż szkołkami, utrzymywanymi przez Niemców pisze:

„Nasze szkoły — to stare rudery, tak niskie, że człowiek wyższego wzrostu nie może się w nich wyprostować. Ściany gołe i brudne, izby ciasne, pełno zaduchu. Dziecko dużo zdrowia straci w takiej szkole i nie nauczy się cenić porządku i czystości. Dzieci tych zresztą uczęszcza do szkoły bardzo mało: wieś Wykowo naprz. licząca 300 mieszkańców i 50 dzieci w wieku szkolnym—w tym roku z początkiem zimy posyłała do szkoły czworo dzieci”.

„Przeciwnie, szkoły niemieckie zastałem w zupełnie innym stanie: izba szkolna szeroka i widna, wsparta na 2-ech filarach, przestrzeni dosyć, to też niema tego zaduchu, co u nas, chociaż drzwi zam-

knęte. Wszędzie porządek wzorowy: zimowe ubranka dzieci wiszą w przedsiönku, ściany szkoły pomalowane i zawieszzone rysunkami. Wiszą nadto duże mapy. W dużej oszklonej szafie mieści się spora biblioteka szkolna, złożona z samych rosyjskich książek, pośrodku szkoły stół—a na nim globus”.

Podczas gdy Niemcy otaczają swych nauczycieli ludowych poważaniem i starają się współdziałać z nimi, i bronić ich, u nas pod tym względem panują inne stosunki. Lud wiejski — (oczywiście nie w tych nielicznych zresztą okolicach, gdzie rozumieją potrzebę oświaty)—uważa nauczyciela za wyraz zbytku i otacza go obojętnością, inteligencja zaś traktuje nauczycieli wyniośle, niby ludzi jakiejś niższej rasy. Niekiedy ten sposób zachowania się jest nietylko już oburzający, lecz wprost haniebny, jak o tem świadczy następujący wypadek, opowiedziany przez „Gazetę Kujawską”.

W ubiegłym roku założono w Radziejowie ochronkę, zostającą pod opieką Stowarzyszenia opieki nad dziećmi „Gniazdo”. Na ochraniarkę powołano p. Sawicką, która te obowiązki wypełniała z całą sumiennością i znajomością rzeczy. P. S. przybyła do Radziejowa z Turku, gub. kaliskiej, gdzie podczas rewizji ochronki znaleziono między książkami kajet z polskimi wierszami patriotycznymi. Za to spotkała p. S. kara administracyjna w postaci zapłacenia 25 rb. lub 2 tygodnie aresztu, oraz przesiedlenie do innej guberni. Zarząd ochronki w Turku obiecał tę karę zapłacić, ale jakoś zapomniał, więc podczas pełnienia obowiązków ochraniarki w Radziejowie nadszedł rozkaz aresztowania p. S. i osadzenia jej w areszcie. Poszła więc ochraniarka do aresztu tak przejęta tym faktem, że się poważnie rozchorowała. Nie dość na tem spotkał ją następnie drugi cios, t. j. wymówienie miejsca w ochronce radziejowskiej. W tym celu kilka opiekunek ochrony zwołało posiedzenie, na które, wbrew regulaminowi, nie zaproszono niektórych opiekunek. Na tem właśnie gospodarskim posiedzeniu uchwalono nietylko dymisję lecz na dodatek jeszcze odliczono p. S. z pensji za dwa tygodnie przymusowej nieczynności.

Oto fakty, które są na porządku dziennym i przechodzą bez wrażenia, jako objaw zupełnie naturalny.

Asper.

lew., zaznaczymy tylko, że przewodnią ideą projektu Howarda jest połączenie dodatnich stron, życia miejscowego, z życiem pośród natury, połączenie miasta ze wsią — i idea ta dzięki szczegółowemu opracowaniu została już zrealizowaną w wielu państwach, w Anglii, Ameryce, Francji, w Niemczech, w Szwajcarii i innych krajach gdzie miasta — ogrody z niezwykłym pożytkiem dla ludności powstają.

St. Annański.

„Wieża z kości słoniowej”, powieść przez Tadeusza Jaroszyńskiego.

Bywają rzemieślnicy, traktujący zawód swój, jako sztukę piękną. Zaś na biegunie przeciwnym znajdują się artyści, uprawiający sztukę swą, jako rzemiosło zarobkowe. O ile rzemieślnik - artysta bywa typem niekiedy pożądanym społecznie, a indywidualnie zawsze cennym, niezwykłym i ciekawym, o tyle artysta - rzemieślnik budzi jeno politowanie, śmiech, albo pogardę. Takim artystą - rzemieślnikiem jest w nieskończonym szeregu dzieł swych p. T. Jaroszyński.

Tę kroplę niewątpliwego talentu, którą przyniósł z sobą, dawno już wycisnęły zeń tłocznie dziennikarskich machin. Teraz pisze on swe feljetony, powieści i artykuły dla tego tylko, że istnieje papier na świecie i atrament, oraz po to tylko, by brać po X kop. od wiersza. Jakże z tego rodzaju „fenomenologją twórczą” walczyć ma krytyka literacka? Na dobrą sprawę nie nadaje się ona wcale do dyskusji publicznej.

Powieści p. Jaroszyńskiego powinny pozostać w sferze prywatnych jego interesów oraz stosunków z wydawcami. Nie przedstawiając bowiem żadnego waloru artystycznego, posiadać mogą mimo to wybitną w handlu wartość użytkową i zamienną, zwłaszcza o tej porze, gdy letnicy podmiejscy poszukują beletrystycznej strawy obfitej, płytkiej a rzewniej, jak przysłowiowa kołysanka — marzenie pióra p. M. Gwałewicza:

Siądę sobie, siądę sobie  
Pod modrzewiem;  
Tak mi jakoś, tak mi jakoś,  
Że sam nie wiem...

Ci z podziwem również spoglądać będą na „Wieżę z kości Słoniowej (nie byle jakiej!). Ale cóż to może, zresztą, nas obchodzić?

## KRYTYKA I SPRAWOZDANIA.

Józef Holewiński: „MIASTO PRZYSZŁOŚCI” Warszawa 1909.

Kryzys mieszkaniowy, jaki ogarnął nasze miasto, z natury rzeczy zmusił do gruntownego zbadania nieunormowanej u nas kwestji mieszkaniowej, która ostatnimi laty nie schodzi z pierwszego punktu porządku dziennego naszych trosk społecznych. „Przeludnienie miasta wraz ze swemi następstwami oddawna zwróciło na siebie uwagę socjologów i higienistów,“ którzy doszli do wniosku że najracjonalniejszym typem zbiorowiska ludzi, któreby nie mąciło jak obecnie spokoju mieszkańców, powinno być miasto-ogród. Pośród licznych teorii i pomysłów wyróżniono projekt publicysty angielskiego, E. Howarda, projekt, który „dzięki swej prostocie i szczegółowemu opracowaniu strony finansowo-ekonomicznej wzbudził ogólne zainteresowanie i, co najważniejsze, dziś już zwycięsko wytrzymał ogniową próbę przejścia z teorii w życie.“ Szczegółową analizą tego projektu zajmuje się właśnie p. Holewiński w swojej pouczającej i aktualnej pracy. Brak miejsca nie pozwala nam streścić książki p. Ho-

„Duma o Hetmanie“ Żeromskiego, studjum krytyczne, napisał Tadeusz Rakowiecki, r. 1909.

Pan Rakowiecki wychodząc z założenia że na słońce patrzeć można jedynie przez szkła okopcone, spróbował zastosować zasadę powyższą do dzieł wyższego talentu, i — spojrzął na „Dumę o Hetmanie” skroś szary miał ogólników, zdartych jak cnota prostytutki, jałowych, jak modlitwa lichwiarza. Czytającemu „studjum” p. R. mimowoli przychodzi na myśl apollińskie, śmiercionośne słowa Ruskina, wołającego na niefortunnych krytyków, usiłujących wstawić swą indywidualność niepokazną a natrętną między oko widza a obraz artysty: „Usuńcie się! zacni panowie, nie przesłaniajcie oczom drogiego widoku!”.

W. Rzymowski.



## Z T E A T R U.

*Śpiew łabędzi.* Komedja w 3-ach aktach Jerzego Duvalà i Ksawerego Roux, przekład z francuskiego Br. Neufeldówny.

Panu Jerzemu Duvalà czy panu Ksaweremu Roux czy też obydwum naraz (nie jestem dostatecznie obeznany z tym rodzajem twórczości...) przyszło do głowy pokazać, jak zużyty starzec uwodzi młodą kobietę. Napisał więc (czy też napisali) odnośną scenę, która wypadła wcale nieźle. Ze zwykłą ludzom zręcznym bystrością zgodzili się jednak na to, że sztuka, wypełniająca cały wieczór, przyniesie im więcej, niż pojedyncza scena. Postanowili zatem dorobić do niej trzy akty, które z nieznanym mi przyczyn nazwali komedją.

Margabia de Sambré spełniał przez całe życie sumiennie obowiązki, które autorzy francuscy zwykli składać na barki przedstawicieli arystokracji mianowicie uwodził kobiety. Znużony i wycieńczony tą służbą publiczną, przypomniał sobie o istnieniu swej córki, Simony, zamkniętej dotychczas w klasztorze. Odebrał ją stamtąd, i z zawodowego uwodziciela przedzierzgnął się w czulego ojca. Wkrótce wydał Simonę za męża, za inżyniera-fabrykanta, Laverdière, a sam usunął się do zacisznego zamku w Rembouillet. Tkliwy stosunek pomiędzy ojcem a córką, oparty na wspólnej obojgu wrażliwości artystycznej i wspólnych skłonnościach romantycznych, trwa bez zmiany, podtrzymywany przez codzienną wymianę listów. To oddała Simonę coraz bardziej od męża, który, jako adept nauk ścisłych, nie podziela jej zamiłowań. Rozluźnienie stosunku pomiędzy małżeństwem prowadzi do tego, że w dniu, w którym młoda para przyjeżdża w odwiedzinach do margrabiego (akt 1-szy), Laverdière jest na drodze do związania miłości z „uczoną kokotą”, redaktorką czasopisma przyrodniczego, Jessy Cordier. Dama ta, rekrutująca swą klientelę wyłącznie z pośród ludzi uczonych, zjawia się pod jakimś pozorem w zamku margrabiego, aby ostatecznie usidlić nową ofiarę swych naukowych pożądań. Niezręczny Laverdière zdradza się przed teściem. Ten postanawia ratować szczęście małżeńskie córki za cenę swej własnej cnoty — tembardziej, że Jessy bardzo mu się podoba.

Margrabia wykonywa swój plan (akt 2-gi) z godnym podziwu zaparciem się siebie i ze zręcznością wytrawnego *roué*; poświęcenie swe doprowadza tak daleko, że bierze nawet na siebie pojedynek, grożący zięciowi.

Uczony Laverdière nie waha się zwalić całej winy na teścia (akt 3-ci), i tym sposobem zostaje zawarta zgoda między małżonkami. Margrabia powraca do Rembouillet, a po chwili przybywa Jessy, aby mu wyznać, że noc minioną była najpiękniejszą w jej życiu i zwrócić mu wobec tego wręczone jej honorarium. Ta wycieczka liryczna dodaje margrabiemu siły do wzniesienia się na najwyższy stopień poświęcenia: postanawia wyjechać, aby nie stać już dłużej pomiędzy Simoną a jej mężem.

Nawet najlepsza scena tej sztuki (margrabia i Jessy), stanowiąca ośrodek całej akcji, nie posiada żadnej wartości artystycznej. Uwiedzenie młodej kobiety przez starca stanowi niewątpliwie bogaty temat ale wszak tutaj rzecz dzieje się pomiędzy kokotą i rozpustnikiem, który działa za pomocą brylantów i szampana — a na zakończenie płaci. Jessy Cordier, prawdziwa czułości starszemu i zwracająca mu pieniądze — to jakiś skarykaturowany duch pokutniczy romantyzmu francuskiego. Ujęcie stosunku między ojcem i córką mogłoby być interesujące, gdyby mu nie zbywało całkowicie na pogłębieniu i gdyby było wytrzymane w znaczeniu artystycznym.

W rysunku charakterów poprzestają autorowie

na pochwyceniu cech zewnętrznych, a niektóre kreślą zgoła błędnie, jak np. Laverdière'a.

Margrabia jest mieszaniną pajaca i dzielnego człowieka, wychowanego na tradycyjnej galanterji drugiego cesarstwa. Zresztą o tej postaci najmniej powiedzieć można, gdyż p. Leszczyński dał nam tylko mizerne okrucy djalogu. A ponieważ zgoła nie miał pojęcia o tem, co było w roli, więc wszystkie prawie, zasłyszane od suflera kwestje, intonował zupełnie fałszywie; tak np. zdanie: „a więc farbował włosy“ (akt 1-szy), które ma oczywiście pobudzić widzów do śmiechu, wypowiedział tonem Otella, dowiadującego się o zdradzie Desdemony. I nie można było się śmiać — miało się chęć zapłakać... Jeden z recenzentów każe nam podziwiać p. Leszczyńskiego za t. zw. „giest“ i stawia go młodym za przykład. To, co krytyk ów określa tem pocziwem, „tak bardzo naszym“, a tak nic nie mówiacem mianem „gestu“, było poprostu rozpaczliwym rzucaniem się po scenie aktora, nieumiejącego roli. Bo chyba nie stosuje tej szumnej nazwy do atletycznej budowy p. Leszczyńskiego i do ponawianego ciągle na premierze sobotniej ruchu sięgania ręką do nie dosyć mocno przylepionego zarostu.

P. Pichorówna stworzyła typ już dawno energicznej, pewnej siebie i zalotnej kobiety, który jest wart daleko więcej, niż narzucane jej przez nasz ubogi repertuar postaci. P. Sliwicki postąpił bardzo słusznie, wygładzając ogromne braki w rysunku postaci Laverdière'a za pomocą cech roztargnienia i nonszalancji krótkowidza. pp. Wojdałowicz, Lubicz-Sarnowska (trochę zbyt wiele manieri rezolutnej *ingenné*), Kawalski i Szymanowska grali dobrze. Dykcja wykonawców ról epizodycznych (oprócz p. Janusza i p. Hertzowej) pozostawia bardzo wiele do życzenia.

Dr. J. M. Muszkowski.

## MŁODOŚĆ ROBOTNICZY.

(5)

Stałam się prawie bogata. Liczyłam ile mogę oszczędzić sobie w ciągu roku. Uważałam za marnotrawstwo wydawać na lepsze odżywianie. Aby tylko nie odczuwać głodu, wszystko mi jedno było, z czego składało się moje pożywienie. Jedyne moje życzenie — ładnie się ubrać. Gdy będę szła w niedziele do kościoła, aby nikt nie poznał we mnie robotnicy. Wstydziałam się mojej pracy, praca w fabryce wydawała mi się czemś poniżającym. Kiedy uczyłam się jeszcze u moich krewnych, słyszałam zawsze, że robotnice są złe i zepsute. Wyrażano się o nich w najprzykrzejszych wyrazach i ja to mniemanie przejęłam. Teraz sama chodziłam do fabryki, gdzie było tak wiele dziewcząt.

Robotnice były uprzejme dla mnie, obznajmiały mnie z moją robotą i wprowadzały mnie w zwyczaje przemysłu. Dziewczęta z sali sortowania były elitą personelu. W innych salach były kobiety i mężczyźni razem, jedna sala była wyłącznie dla personelu kobiecego. Mężczyźni byli używani jako siła pomocnicza przy ekspedycji towaru. Obiad mogliśmy spożywać w fabryce. Chociaż tylko w sali sortowania było wygodniej, nie można tam było pozostawać, gdyż towar przejmował się zapachem naszego „jadła”.

Te robotnice, które mieszkały w bliskości fabryki, mogły stołować się w domu i miały ciepłą strawę. Kilka tygodni stołowałam się u moich znajomych. To była prawdziwa męka. Miałam 25 minut prędkiego chodzenia, łykałam gorące jedzenie i znowu spieszyłam do swej roboty, do której zasia-

dałam zdyszana. Długo tak żyć nie mogłam, wolałam pozostawać w fabryce.

Warunki wynagrodzenia w tej fabryce były najlepsze. Rodzice uważali się za szczęśliwych, gdy mogli umieścić tam swe 14-letnie córki. Nawet zamężne robotnice starały się umieścić tutaj swoich mężów, zawodowych robotników, jako pomocników. I tutaj nawet w tym „raju“ wszyscy źle się odżywiali. Na obiad kupowano sobie za kilka krajcarów kiełbasy, lub odpadków w składzie sera. Czasami tanie owoce. Niektóre piły piwo, zającadając chlebem. Kiedy nam już to menu obrzydło, przynosiłyśmy sobie z restauracji trochę zupy za 5 krajcarów, lub jarzyn. Rzadko to było smaczne, a czasami tak obrzydliwe, że wyrzucałyśmy, pocieszając się myślą o kawie, którą miałyśmy na poobiedzie. Często podczas obiadu przechodził zarządzający fabryką. I kiedy był w dobrym humorze stawał, pytał co zaszło „dobrego“. Kiedy robotnica była ładna, lub umiała się skarżyć, darowywał pieniądze, za które mogła sobie kupić coś lepszego. To mnie zawsze oburzało i na pytanie, czy jadło moje smaczne, odpowiadałam twierdząco.

Wogóle lepiej odżywiać mogły się te tylko, które miały pomoc w rodzinie. To jednak było rzadkie, zwykle robotnice musiały utrzymywać swoich rodziców, lub łożyć na dzieci. Matki ciułały grosz do grosza, by wydać na podarek dla opiekunki, a przez to zapewnić dzieciom lepszą opiekę. U tych wzgardzonych „fabrykantek“ widziałam nadzwyczajne przykłady poświęcenia. W wypadku niezwyklej nędzy w jakiejś rodzinie składały krajcary, aby jej pomóc. Po 12-o godzinnej pracy fabrycznej a nadto godzinie drogi, jaką miały do domów, szyły bieliznę, tafały ubrania.

Pomimo swojej pracowitości, oszczędności, każda była biedna i drżała na myśl stracenia roboty. Wszystkie tchórzyły i pozwalały sobie na największą niesprawiedliwość ze strony przełożonego, aby nie stracić miejsca i nie pozostać bez chleba.

Niektórej z dziewcząt zdarzało się nieszczęście: zwierzchnik obdarzał ją szczególnymi względami. Nagle dziewczyna taka traci łaski, już nie awansuje, natomiast ciągle bywa gromiona, aż w końcu zmuszona jest opuścić miejsce.

O niektórych, którym się to zdarzyło, szeptały sobie dziewczęta: widziano je na określonych ulicach, obdarła lub też wychylone z okna, wabiące mężczyzn. Wszystkie się oburzały, ale żadna nie pomyślała, jakby to było inaczej, gdyby od samego początku z godnością nie pozwalały na okazywanie sobie względów.

O ukrytej i jawnej prostytutce nic jeszcze wtedy nie wiedziałam. Nawet słowa tego nie znałam. Potem, gdy już umiałam pojmować przyczynę i skutek—inaczej zaczęłam myśleć o tych dziewczętach.

W tym czasie byłam tylko zajęta myślą, aby robotę swoją dobrze wykonać i z nikim nie mieć styczności.—Zresztą w tej sali, w której ja pracowałam nic podobnego nie zachodziło; nasz zwierzchnik nie zwracał się do nas ani ze złem, ani z uprzejmem słowem. Był to tyran najgorszego gatunku i traktował robotnice jak stado niewolnic. Nigdy nie skarżono się na niego, uchodził za „coś lepszego“. Że kiedyś sam był robotnikiem w tej samej fabryce—zupełnie już o tem zapomniał.

Bracia moi pożenili się i byli zmuszeni troszczyć się o własne rodziny. Ja jednak nie chciałam opuścić matki i zezwolić, by pracowała nadal. Pomimo moich oszczędności nic dla siebie zebrać nie mogłam, ale wszelkich starań dokładałam, aby mój wolny grosz dla matki i w razie choroby ochronić ją od pójszcia do szpitala, czego się tak bardzo lękała. Tak, jak inne robotnice, uważałam się za szczęśliwą,

że mogę pracować w tej fabryce i unikałam wszystkiego, coby mogło być powodem nagany.

„Dobry pan“—to było ogólne mniemanie o moim „chlebodawcy“. Jak wiele przynosi wysiłek ludzkiej pracy—widocznym jest właśnie u tego fabrykanta. On, który był lepszym dla pracujących od innych przedsiębiorców, on, który za czas choroby robotników przez wiele tygodni wypłacał całkowity lon, on, który nigdy nie odmawiał żadnej prośbie, gdy się do niego w nędzy zwracano — pomimo to wzbogacił się przez produkcyjną pracę kobiet i mężczyzn, pracujących w jego fabryce.

Jak stałam się w tej fabryce kolektywistką opowiem dalej. Z czasem nie uważałam się już za biedną. Cieszyłam się myślą o wspaniałej niedzielnej wieczerzy. Za 20 krajcarów kupowaliśmy mięsa, później, kiedy pobierałam większą płacę było „jeszcze“ lepiej i dostawałam małą szklanekę cukrzonego wina.

(D. c. n.).

## LUDWIK GUMPLOWICZ.

— Śmiercią samobójczą zakończył życie słynny socjolog, prawnik i historyk, Ludwik Gumplowicz. Urodził się w Krakowie dnia 9 marca 1838 roku. Kształcił się w Krakowie i Wiedniu. Od roku 1860 pracował na niwie dziennikarskiej. W 1869 roku nabył „Kraj“ krakowski i redagował go do 1879 roku. W 1882 roku został profesorem nadzwyczajnym w Hradcu w 1891 r. — zwyczajnym i na tem stanowisku pozostawał do końca życia. — Z prac jego znane są: „Zdania ze wszystkich umiejętności prawnych i politycznych“, „Wola ostatnia w rozwoju dziejowym i umiędzynym“, „Osiem listów z Wiednia“, „Prawodawstwo polskie względem Żydów“, „Projekt Stanisława Augusta reformy Żydów“, „Konfederacja Barska“, „Korespondencja między Stanisł. Augustem a ks. Branickim“, „Rasse und Staat“, „Philosophisches Staatsrecht“, „Recht der Nationalitäten und Sprachen in Oesterreich—Ungarn“, „Rechtstaat und Socialismus“, „der Rassenkampf“, „Grundriss der Sociologie“, „System Sociologii“, „Verwaltungslehre“, „Einleitung in der oester. Staatsrecht“ i inne. Prócz tych prac, napisał wiele artykułów i studjów w czasopismach naukowych francuskich, polskich, niemieckich i włoskich.

Gumplowicz rozpoczął swoją działalność naukową w czasach rozkwitu nauk przyrodniczych i metod pozytywistycznych, w czasach usilnych i ożywionych badań, prowadzonych według teorii Darwina i odkryć antropologicznych. Gumplowicz był zdecydowanym monistą. Narody historyczne powstały z pierwiastka socjologicznego i rozwijają się podług praw ściśle określonych i niezmiennych. Państwo jest organizacją panowania większości nad większością, ono stworzyło rodzinę, własność, prawo — Socjalizm uważał za dalszy logiczny rozwój zasad wolności i równości. W poglądach społeczno-politycznych i narodowych holdował zasadom radykalnym.

## WŁADYSŁAW BOGUSŁAWSKI.

— Dnia 18 sierpnia zmarł w Warszawie nestor naszej krytyki teatralnej Wł. Bogusławski ukończywszy 70 lat życia. Nazwisko jego związane jest ściśle z tradycją i historją naszej sceny. — Dziad zmarłego, Wojciech Bogusławski był twórcą teatru polskiego, ojciec, Stanisław, autorem dramatycznym — Zmarły poświęcił swe pióro scenie i sztuce dramatycznej. Młodość swą spędził częścią na Syberji jako zesłany po 1863 roku częścią na studjach uniwersyteckich w Petersburgu, Moskwie i zagranicą — w Paryżu i Heidelbergu — W roku 1876 Bogusławski objął stanowisko reżysera komedji i dramatu, a choć po roku je porzucił, doświadczenie praktyczne wyjaśniło

mu wiele spraw, z życiem naszego teatru związanych. Doświadczenie to spożytkował w książce p. t. „Siły i środki naszej sceny”. Bogusławski pozostawił również wiele przekładów cenniejszych dzieł obcych oraz oryginalne studia literackie; z przekładów wymienić należy „Historję Atylli” Thierrego, „Historję XVIII wieku” Schlossera, „Islam” Vamberrego, zaś z większych studjów literackich: „Wojciecha Bogusławskiego”, „Prusa”, „Ibsena”, „Quo Vadis”. Od 1890 r. objął redakcję „Biblioteki Warszawskiej”, w której aż do ostatnich czasów zamieszczał artykuły o teatrze i muzyce. Głównym dążeniem Bogusławskiego było podniesienie sztuki scenicznej na najwyższy poziom. Dążenie to stało się treścią jego pracowitego żywota i znalazło także wyraz w ostatnim artykule drukowanym w Bibliotece Warszawskiej. Śmierć jego wywołała głęboki i serdeczny żal w szerokich kołach literackich i artystycznych.

## KRONIKA.

— „Russk. Wied.” donoszą o zamknięciu w drodze administracyjnej najstarszej instytucji samopomocy rosyjskiej „Kasy literatów i uczonych w Petersburgu.”

Kasa liczyła 800 członków, w skład jej wchodziła najpoważniejsi przedstawiciele piśmiennictwa rosyjskiego. Prezesem był były poseł Kuźmin-Karawajew. Oddziały kasy znajdowały się we wszystkich większych miastach Cesarstwa.

W ciągu długiego swojego istnienia kasa jako instytucja czysto ekonomiczna nigdy nie była podejrzewana o nieprawomyślność. Kapitał kasy wynosi około 300,000 rb; zapomogi wynoszą rocznie 50,000.

Jak się okazuje administracyjna likwidacja tej poważnej instytucji wywołana została tem, iż w roku 1906 przy kasie istniała specjalna komisja dla udzielania zapomóg członkom kasy, którzy ucierpieli wskutek administracyjnych represji. Komisja działała legalnie. W ostatnich czasach do ministerjum spraw wewnętrznych doszły pogłoski, że komisja wydała zapomogę matce zabójcy Sipiagina.

Rewizja papierów komisji wykazała, że zapomogi tej nie wydano, jednakże władze administracyjne uznały komi-

sję za „skompromitowaną” i obecnie postanowienie o zamknięciu kasy przesłano już do senatu.

W tych dniach odbędzie się ogólne zebranie likwidacyjne członków kasy.

— Własność „Kurjera Porannego”. W tych dniach p. Feliks Ludwik Fryze, redaktor i współwłaściciel „Kurjera Porannego” nabył ostateczne prawo własności drugiej połowy wydawnictwa „Kurjera Porannego”, należącej poprzednio do ś. p. Feliksa Burzyńskiego. Skutkiem tego aktu p. F. L. Fryze staje się wyłącznym właścicielem całego dziennika, a wywołany cywilną akcją sporną sekwestr sądowy zostaje zniesiony.

— Wydział lekarsko sanitarny ministerjum oświaty opracował sprawozdanie za r. 1908 dotyczące samobójczych i nieszczęśliwych wypadków wśród uczących się w szkołach ministerjum oświaty.

W roku sprawozdawczym spełniono 83 samobójstwa, z tego 64 przypada na płęć męską, 19 na kobiety; podział na szkoły jest następujący: 6 samobójstw spełniono w szkołach niższych (5 chłopców i 1 dziewczynka), 61 — w średnich (43 chłopców i 18 dziewcząt) i 16 — w szkołach wyższych, gdzie odebrali sobie życie sami mężczyźni.

Największa liczba samobójstw przypada na petersburski okręg naukowy, po którym idzie okręg kijowski.

Śród przyczyn, jakie pociągnęły za sobą samobójstwo, dominuje pomieszanie zmysłów; dalej idą okoliczności rodzinne, wreszcie przyczyny natury romantycznej. W przeciwieństwie do roku przeszłego liczba samobójstw na gruncie przyczyn czysto szkolnych zmniejszyła się z 7 do 2.

— Wyszedł numer okazowy dwutygodnika „Przyszłość” (organ towarzystwa abstynentów) i zawiera treść następującą:


Odezwa od Redakcji, Powitanie Czechów, Prośba pod adresem społeczeństwa naszego, prof. dr. B. Dybowski, Alkoholizm dawniej a dziś, T. A. Andrzejewski, List otwarty do robotników Oddziału Łódzkiego, Wyjątkowa Kraina, Listopad, Robociarz z Nowomińska, List do Redakcji, Sprawozdania: Zarządu Głównego i Oddziału Warszaw.

Komisję redakcyjną stanowią: Dr. Teodor Łapiński (dział medyczny) Aniela Sokołowska i Fryderyk Jeroma, Kierownik literacki: Wiktor Karliński.



### Fabryka mebli żelaznych i wózków dzieciennych

# I. NEUFELDA



Telefon fabryki 44-66.  
Firma istnieje od 1878 r.

WARSZAWA-PRAGA.

Telef. magazynu 44-25.  
Firma istnieje od 1878 r.

Fabryka: Praga-Brukowa 4. — Skład fabryczny z oddziałem pościelowym: Warszawa, Marszałkowska 122.

Wyroby fabryki: Meble żelazne: łóżka angielskiego i wiedeńskiego fasonów i zwyczajne, kołebki, umywalki, szafki nocne i t. d. Meble żelazne ogrodowe, wózki dziecienne i welocypedy, własnego pomysłu, siedzenia druciane do bryczek i linijek w zupełności zastępujące resory.

Fabryka dostarcza: wszelkiego rodzaju meble żelazne dla różnych Instytucyj: Szpitali, Hoteli, Koszar i t. d.

## Skład Papieru i Galanterji K. T. PIASECKI

Warszawa, Nowy - Świat № 21. Telefon № 147-90.

Poleca najmodniejsze papiery listowe krajowe, francuskie i angielskie. Oryginalne sekretniki. Karty wizytowe na pergaminie i brystolu. Roboty litograficzne i drukarskie. Materiały piśmienne i szkolne w najlepszych tylko gatunkach.

Zamówienia na prowincję wysyła się za zaliczeniem szybko i dokładnie.

## PENSJONAT

dla kształcących się pań, warunki higieniczne.

Wiadomość w redakcji SPOŁECZENSTWA

Żórawia 29, m. 2.



**Idealny pokarm**  
**dla niemowląt**  
 oraz dla osób dorosłych — chorych  
 na żołądek.

**Zdrowie jest najcenniejszym skarbem dla wszystkich!**  
**SŁYNNA W CAŁYM ŚWIECIE!**

**HERBATA z gór Harcu**

(Dr. Lauer's Harzer Gebirgstee).

Zalecana przez najsłynniejsze powagi lekarskie, zatwierdzona przez departament Med. przy Ministerjum Spraw Wewnętrznych w Petersburgu jest jedynym z najniezbędniejszych środków dla utrzymania zdrowia. Napój przyjmowany w ilości 2—3 filiżanek tygodniowo, leczy: wyrzuty, liszaje uderzenia krwi do głowy, hemoroidy, reumatyzm, artretyzm, cierpienia żołądka i t. p. przywraca apetyt, prawidłowe trawienie. Działa skutecznie w wypadkach zapalenia płuc, grypy, cholery. Działa skutecznie w wypadkach zapalenia płuc, grypy, cholery.

**Cena pudełka 1 rb., 1/2 pudełka 50 kop.**

**UWAGA:** Każde oryginalne pudełko zaopatrzone następującą etykietą: Reprezentant na Królestwo Polskie i Cesarstwo:

**JÓZEF GROSSMAN. Warszawa, Śliska № 33a. Telefon 184-44.**

Za miejscowym wysyłam za zaliczeniem od rb. 1 z odliczeniem na koszt przesyłki. Wystrzegać się falsyfikatów i podrabianych etykiet.

## KURSY PEDAGOGICZNE

dla kobiet

pod kierunkiem **JANA MIŁKOWSKIEGO**

w WARSZAWIE

Kurs nauk trwa 3 lata i obejmuje działy: literacki i przyrodniczy. Zapisy, informacje i programy w kancelarii Kursów od 10—2 pp.

ulica Widok Nr. 16.

Wykłady 15 Września.

## NAUCZYCIELKA

udziela lekcji, przygotowuje do szkół. Posiada języki: francuski i niemiecki. Adres: **Sienna 8, m. 14.**

Zastać można od g. 10 do 1-ej.



INSTYTUT WYCHOWAWCZO - NAUKOWY

**D. ZYLBEROWEJ i E. LUBLINEROWEJ**

dla dzieci małodolnych.

**WARSZAWA, ulica Oboźna 4 (dawniej Sewerynow 5).**



**BEZ ZAPRZECZENIA**

że prawdziwe wino „St.

Raphael“ Kompanji wina

Valence(Drome) Francja.

Z TĄ MARKĄ



Z TĄ MARKĄ

jest lecznicze, wzmacniające i podniecające siły, pomaga trawieniu i znakomite w smaku. Wystrzegać się podrabiań. Każda butelka zaopatrzona pieczęcią Libawskiej lub Odeskij komory celnej.



2-letnie

## KURSY DLA WYCHOWAWCZYŃ

i nauczycielek początkowych

**H. W. GRABOWSKIEJ**

**ERYWAŃSKA 4, w WARSZAWIE.**

Pedagogika z psychologią i metodyka (p. Karpowicz), przyrodoznaw. (p. Stefanowska), higiena (dr. Pawlikowski), śpiew, rysunek, roboty ręcz., nauki ogólnokształc. Wykłady między 4 a 8 p. p., od 1 paźdź. Wpis 80 rb. rocz. Zapisywać się można na pojedyncze przedmioty. Informacje i zapisy od 15 września — Sw. Barbary 6 m, 7, od g. 3—4.

